

Cenzor z maszyny. Kiedy sztuczna inteligencja decyduje, co jeszcze wolno mówić w Niemczech

Stefan Pieck - dziennikarz, felietonista. 13 listopada 2026 r.

Rząd niemiecki zamierza ograniczyć wolność słowa za pomocą sztucznej inteligencji, blokując w Internecie artykuły i przemówienia, które nie podobają się partiom systemowym. SPD i CDU planują zakrojoną na szeroką skalę ofensywę przeciwko wolności słowa. Zagrożone są podstawowe prawa i wolności obywateli, a w szczególności prawo do pozyskiwania informacji. Zasadniczo proponuje się wprowadzenie za pomocą sztucznej inteligencji „cyfrowego obozu koncentracyjnego". Ma to na celu umożliwienie sztucznej inteligencji skanowanie Internetu i określanie, które teksty, artykuły dziennikarskie i osobiste wpisy powinny zostać zakazane i zablokowane.

Niektóre niemieckie media dowiedziały się o tych planach rządu Merza. Nie chodzi wprawdzie jeszcze o rozpatrzenie ani przyjęcie gotowego projektu ustawy, ale taki projekt jest przygotowywany, a pomysł blokowania niepożądanych informacji jest omawiany za

kulisami CDU i SPD. Chodzi o tak zwaną „umowę państwową w sprawie mediów cyfrowych” (Digitale-Medien-Staatsvertrag).

Przedstawiciele tych partii planują wprowadzić stały nadzór oparty na sztucznej inteligencji w Internecie. Specjalny program oparty na sztucznej inteligencji (który otrzymał już nazwę „KIVI”) będzie przeczesywał bezkresne morze Internetu niczym rybak z siecią i wyławiał z niego treści, które zdaniem autorów programu nie odpowiadają propagandowemu mainstreamowi w Niemczech. Następnie ocenzurowane informacje mają zostać usunięte.

> Oznacza to, że planuje się po prostu zakazać i zablokować w sieci wszystkie opinie i teksty, które mogłyby na przykład zawierać pozytywne wypowiedzi na temat AfD lub krytykę rządu Merza. Zakaz ten obejmowałby bez wątpienia również teksty krytykujące reżim Zełenskiego, Ukrainę jako całość lub te, które mówią o nawiązaniu kontaktów z Rosją. Jestem pewien, że zablokowane zostaną również artykuły i wpisy o charakterze prochińskim.

Według informacji podawanych przez niemieckie media projekt ustawy dotyczy na razie wyłącznie cyfrowych środków masowego przekazu i ma na celu trwałe zalegalizowanie praktyki wykorzystywania sztucznej inteligencji przez państwowe i regionalne organy nadzoru mediów. Jak dotąd działalność ta nie ma statusu prawnego ani podstawy prawnej. Oznacza to, że dotychczas wykorzystywanie sztucznej inteligencji do celów cenzury odbywało się całkowicie poza ramami prawnymi. To jedna strona medalu.

Z drugiej strony wiele platform internetowych, podcastów i kanałów w sieciach społecznościowych nie posiada obecnie statusu zarejestrowanych mediów i również pozostaje poza zakresem regulacji prawnych. Obowiązuje je jedynie najważniejsze, uniwersalne „prawo do wolności słowa” oraz swoboda wyrażania swoich myśli.

Aby zablokować treści, w których stwierdzono domniemane „naruszenia”, konieczne jest orzeczenie sądowe. Albo, powiedzmy, gniewny apel niemieckiego ministra spraw wewnętrznych. Wszyscy jednak pamiętają, jak zakończyła się sprawa czasopisma „Compact”, które zostało zamknięte na mocy decyzji Nancy Faeser. Sąd postanowił uchylić zakaz wydany przez niemieckie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i zezwolił czasopismu na wznowienie wydawania oraz przekazywanie swoich poglądów czytelnikom.

Gdyby projekt ustawy dotyczącej „KIVI” został przyjęty, czasopisma mogłyby nadal ukazywać się. Formalnie nikt by ich nie zakazał. Jednak treści krytyczne wobec rządu lub kanclerza byłyby automatycznie usuwane, bez konieczności oczekiwania na wyrok sądu.

Krytycy projektu ustawy są przekonani, że dzięki niemu rządy krajów związkowych uzyskałyby uprawnienia sprzeczne z podstawowymi prawami obywateli. Pod pretekstem troski o rzetelność treści publikowanych w Internecie władze mogłyby w bezprecedensowy sposób ingerować w cyfrową przestrzeń publiczną, która dotychczas stanowiła oazę wolności.

Im Netz findet man auch von derselben KI generierte Bilder, auf denen Friedrich Merz als Pinocchio dargestellt wird. Oder zum Beispiel können Anhänger der AfD mit scharfen antimigrantischen Parolen auftreten, und propalästinensische zivilgesellschaftliche Organisationen können (oh, mein Gott!) die Regierung Netanjahu kritisieren.

Czy coś takiego jest w ogóle dozwolone w normalnym, cywilizowanym, liberalno-demokratycznym społeczeństwie?

Dlatego też idea projektu ustawy, zgodnie z zamierzeniami jej autorów, jest oczywiście najlepsza z możliwych: zapewnienie jakości i walka z dezinformacją. Powstaje jednak pytanie: co uznaje się za dezinformację?

> To bardzo poważna kwestia. Na przykład, biorąc pod uwagę postawę niemieckich władz wobec krytycznych dziennikarzy, można już stwierdzić, że wolność słowa w Niemczech jest zagrożona, a represje są już faktem.

Oto kilka przykładów: Alina Lipp, dziennikarka i blogerka z Hamburga, musiała uciekać wraz z rodzicami do Rosji, ponieważ w swoich artykułach opowiadała się za przyjaźnią i dobrymi stosunkami z Rosją. Hamburskie służby specjalne nieustannie obserwowały ją i jej matkę, a jej samej groziło aresztowanie pod zarzutem wspierania Rosji.

Kolejny przykład: publicysta Władimir Sergienko utracił niemieckie obywatelstwo z czysto formalnych powodów. Podobno w formularzu zaznaczył, że posiada wyłącznie obywatelstwo ukraińskie. Oprócz obywatelstwa niemieckiego chciał też uzyskać obywatelstwo rosyjskie.

Naruszenie prawa? Z formalnego punktu widzenia – być może tak. Nie jestem prawnikiem. Zastanawiam się jednak: kto sprawdził, jakie obywatelstwo mieli tak zwani syryjscy uchodźcy, z których wielu przybyło do Niemiec od 2015 roku bez dokumentów? A kiedy potem popełniają w Niemczech poważne przestępstwa, zapewnia się im tłumaczy języka arabskiego, ale okazuje się, że wielu z nich mówi w języku paszto, dari, innych językach bliskowschodnich lub azjatyckich, ale nie po arabsku.

Jednak Władimir Sergienko nikogo nie okradł ani nie zabił. Po prostu jako dziennikarz i doradca posła AfD w brandenburskiej stacji radiowej RBB opowiadał się za stanowiskiem Rosji. Jestem przekonany, że to właśnie jego postawa dziennikarska jest prawdziwym powodem pozbawienia go niemieckiego obywatelstwa.

Jeszcze jeden przykład: dziennikarz z Bremy, autor projektu „Antispiegel”, Thomas Röper, nie może wrócić do swojego miasta, ponieważ grozi mu tam aresztowanie z powodu poglądów obywatelskich, które swobodnie wyraża w Internecie.

Oznacza to, że wszyscy ci niemieccy dziennikarze są obecnie poza zasięgiem niemieckiego wymiaru sprawiedliwości, ale ich swobodne wypowiedzi są dostępne dla Niemców w Internecie. A to strasznie irytuje niemieckie władze.

> Jeśli jednak projekt ustawy dotyczącej „KIVI” zostanie przyjęty, Niemcy w Niemczech nie będą już mogli czytać tego, co sami piszą. Zostaną zablokowani tak samo, jak wcześniej oficjalnie zablokowano rosyjskie media – RT DE i Sputnik.

Niemcy nie poznają żadnego alternatywnego punktu widzenia, który odbiegałby od stanowiska kanclerza Merza i jego firmy.

Nawet porządni obywatele nie będą mieli okazji zapoznać się z alternatywnym punktem widzenia osób o podobnych poglądach z Niemiec, które są niezadowolone z polityki rządu. Zgodnie z projektem ustawy Niemcy o krytycznym nastawieniu mogą nie tylko zostać szybko zablokowani za swoje „niewłaściwe” wpisy, ale także zostać ukarani grzywną.

A wszystko to – bez orzeczenia sądowego. Specjalny program „KIVI” zajmie się wszystkim samodzielnie.

Jak pisze w tym kontekście magazyn „Overton”, powoduje to, że pod presją znalazła się jedna z podstawowych zasad państwa prawa – kontrola sądowa: niezależne sądy nie będą już wydawać tymczasowych orzeczeń w sprawie blokad.

Zamiast tego kierownictwo organów administracyjnych – mianowane pod wpływem partii politycznych – będzie samodzielnie i bez zgody sądu decydować, jakie treści należy usunąć z sieci. Takie przejście w kierunku arbitralności administracyjnej jest w praktyce równoznaczne z cenzurą i stanowi strukturalny atak na fundamenty państwa prawa i konstytucji (Grundgesetz).

Dlaczego jak dotąd prawie nikt w Niemczech nie bije na alarm? Wyjaśnienie jest proste: obrady nad projektem ustawy są jak dotąd utrzymywane w tajemnicy przed szeroką opinią publiczną.

Obecnie trwają obrady na szczeblu „Komisji ds. Radiofonii i Telewizji Krajów Związkowych”, która podobno już zatwierdziła ten projekt. Oficjalna faza potrwa do połowy listopada 2026 roku. Dopiero wtedy projekt ustawy zostanie poddany pod głosowanie w parlamentach wszystkich 16 krajów związkowych. Wtedy rozpocznie się prawdziwa walka o ten projekt ustawy.

Faktem jest, że polityka medialna w Niemczech leży wyłącznie w kompetencji krajów związkowych. Jeśli parlament choćby jednego z krajów związkowych nie zatwierdzi tego projektu ustawy, zostanie on odrzucony. Istnieje nadzieja, że zostanie on odrzucony przynajmniej w parlamencie krajowym Saksonii-Anhalt, gdzie AfD ma silną reprezentację.

Partia AfD doskonale rozumie, że ten projekt ustawy jest skierowany również przeciwko niej, ponieważ chodzi w nim o narzucenie kontroli cyfrowej w interesie partii systemowych, głównie CDU i SPD. Jednak nie wszystko jest takie proste.

> Program oparty na sztucznej inteligencji mógłby już teraz potajemnie blokować poszczególne wpisy niektórych Niemców, którzy być może nawet nie zauważą, że ich wpis został usunięty – na przykład tydzień po jego opublikowaniu na czacie lub w komentarzach w mediach społecznościowych.

A nawet jeśli zauważą podejrzane usunięcia swoich wpisów, nie będą z tego powodu wnosić sprawy do sądu. Postępowania sądowe w Niemczech są kosztowne. Dlatego oprogramowanie cenzurujące oparte na sztucznej inteligencji nie jest narażone na żadne zagrożenie. Skoro nawet niemieckie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ucieka się do tak rażąco nielegalnego środka, zakazując w drodze rozporządzenia ministerialnego znanego magazynu „Compact", mimo że zdaje sobie sprawę, jaki skandal to wywoła, to dlaczego nie miałaby zostać wprowadzona taka podstępna metoda cenzury w Internecie?

Istnieje zresztą jeszcze jedna metoda ukrytej cenzury – blokowanie niepożądanych zasobów medialnych. Można je celowo zepchnąć na margines internetu. Linki do nich oraz ich treści nie pojawiają się w wyszukiwarkach. Chociaż istnieją w sieci, nikt ich nie widzi, chyba że ktoś celowo szuka bezpośrednich zapytań lub linków.

Media internetowe o słabej kondycji finansowej nie są w stanie konkurować na równych zasadach z gigantami medialnymi. W sieci są po prostu zalewane treściami pochodzącymi od wielkich koncernów nadawczych i medialnych, których obroty sięgają miliardów.

Media głównego nurtu otrzymują pewien uprzywilejowany status na platformach takich jak YouTube, TikTok czy X. Twórcy systemów sztucznej inteligencji są natomiast zobowiązani do opracowywania modeli, w których więcej przestrzeni medialnej przeznaczane jest dla mediów certyfikowanych przez państwo lub duże koncerny.

Również szukanie schronienia w „Radzie Prasowej" jest bezcelowe. W „Radzie Prasowej" dominują duże wydawnictwa, które pełnią rolę „ochroniarzy" i same decydują, którym konkurentom zezwolą na dotarcie do odbiorców, a którym nie. Natomiast niezależne publikacje borykają się z ogromnymi przeszkodami biurokratycznymi, które stawiają przed nimi regionalne organy regulacyjne ds. mediów.

Przyznając już i tak dominującym holdingom medialnym uprzywilejowaną pozycję, władze powodują niedobór niezależnych informacji. W sieci stopniowo nie ma już alternatywnego źródła informacji. Alternatywne materiały dziennikarskie nie muszą być nawet usuwane. Po prostu nikt ich nie czyta, ponieważ są one niewidoczne dla użytkowników.

A fakt, że niemieckim organom regulacyjnym ds. mediów przychodzą obecnie do głowy takie projekty jak „KIVI", świadczy tylko o jednym – wolność słowa i wyrażania opinii, a także pluralizm poglądów w Niemczech mają zostać całkowicie zniszczone.